

MATKA TERESA

DZIELIĆ RADOŚĆ, MIŁOŚĆ I ŻYCIE*

Zgromadziliśmy się tu razem, żeby podziękować Bogu za Nagrodę Nobla, myślę więc, że byłoby pięknie, gdybyśmy zaczęli od modlitwy św. Franciszka z Asyżu, która mnie zawsze tak bardzo porusza. Odmawiamy tę modlitwę codziennie po komunii św., bo ona doskonale odpowiada każdej z nas. I zawsze mnie zdumiewa, że 400–500 lat temu, gdy św. Franciszek ją układał, borykano się z takimi samymi trudnościami, jakie my mamy dzisiaj, kiedy sięgamy do niej, a ona tak idealnie trafia do nas. Myślę, że niektórzy z tu obecnych już ją znają – pomódlmy się więc wspólnie:

Podziękujmy Bogu za to, co stało się okazją naszego dzisiejszego spotkania; za dar pokoju, który przypomina nam, że jesteśmy stworzeni, aby żyć tym pokojem, i że Jezus stał się człowiekiem, aby przynieść tę dobrą nowinę ubogim. On, będąc Bogiem, stał się człowiekiem, podobnym do nas we wszystkim, oprócz grzechu. I oznajmił bardzo wyraźnie, że przyszedł głosić Dobrą Nowinę.

Tą nowiną był pokój dla wszystkich ludzi dobrej woli – i to jest coś, czego wszyscy pragniemy: pokój serca. A Bóg tak umiłował świat, że dał Swego Syna. Taki ogromny dar, że – można by rzec – Bóg z bólem go złożył. Ale On tak bardzo umiłował świat, że dał Swego Syna. Dał Go Maryi Dziewicy – i cóż Ona z Nim czyni?

Gdy tylko On wszedł w Jej życie, Ona natychmiast spieszy podzielić się tą dobrą nowiną. A gdy weszła do domu swej krewnej, oto dziecko jeszcze nie narodzone, dziecko w łonie Elżbiety – poruszyło się z radości. Właśnie ono, to małe nie narodzone dziecko było pierwszym posłańcem pokoju. Rozpoznało Księcia Pokoju, poznało, że Chrystus przyszedł, by przynieść dobrą nowinę – tobie i mnie. I jakby tego było mało – jakby nie było dość, że stał się człowiekiem – umarł na krzyżu, żeby okazać swą przeogromną miłość. Umarł za ciebie i za mnie, i za tego trędowatego, i za tamtego umierającego z głodu, i za tego nagiego, który leży na ulicy – nie tylko w Kalkucie, lecz także w Afryce i w Nowym Jorku, i w Londynie, i w Oslo.

* Przemówienie wygłoszone przez Matkę Teresę z Kalkuty podczas wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla w Oslo 10 XII 1979 r.

I nalegał, byśmy jeden drugiego tak miłowali, jak On umiłował każdego z nas. Czytamy w Ewangelii bardzo wyraźnie: „Miłujcie się tak, jak ja umiłowalem was; tak, jak ja was miłuję. Jak Ojciec Mnie umiłował, Ja was miłuję” [por. J 15, 9–12]. A Ojciec umiłował Go tak trudną miłością, że Go nam dał, więc i my – im bardziej miłujemy się nawzajem, tym bardziej musimy oddawać siebie jeden drugiemu – aż do bólu.

Nie wystarczy mówić: „Miłuję Boga, ale nie miłuję bliźniego”. Św. Jan powiada, że jesteś kłamcą, jeśli mówisz, że miłujesz Boga, ale nie miłujesz bliźniego. Jak możesz miłować Boga, którego nie widzisz, jeśli nie miłujesz swego bliźniego, którego widzisz, z którym się stykasz, z którym żyjesz? [por. 1 J 4, 20]. Jest więc rzeczą bardzo ważną, byśmy zdali sobie sprawę, że miłość, jeśli ma być prawdziwa, musi boleć. Miłość do nas kosztowała Jezusa wiele bólu. Bolała Go.

Uczył się Chlebem życia, żebyśmy zapamiętali Jego wielką miłość, żeby zaspokoić nasz głód Jego miłości; nasz głód Boga, bo przecież zostaliśmy stworzeni dla tej miłości. Zostaliśmy stworzeni na Jego obraz. Zostaliśmy stworzeni, żeby miłować i być miłowanymi – a On stał się człowiekiem, żebyśmy stali się zdolni kochać tak, jak On nas ukochał. To On staje się głodnym, nagim, bezdomnym, chorym, więźniem, samotnym, nie chcianym – i mówi: „Uczyniliście to Mnie!” On jest głodny naszej miłości – i to jest głód naszych biednych ludzi. To jest głód, który ty i ja musimy znaleźć. Być może we własnym domu.

Nigdy nie zapomnę, jak odwiedziłam kiedyś dom, w którym są wszyscy ci starzy rodzice, których synowie i córki po prostu umieścili w takiej instytucji i może całkiem o nich zapomnieli. Weszłam tam i zobaczyłam, że oni tam mają wszystko, tyle pięknych rzeczy, ale każdy z nich patrzy w stronę drzwi. I nie zauważyłam, aby ktokolwiek miał uśmiech na twarzy. Zwróciłam się do siostry i mówię: „Cóż to jest? Co to znaczy, że ci ludzie, mając tu wszystko, tak patrzą w stronę drzwi? Czemu tu się nikt nie uśmiecha?” Bo ja już tak przywykłam widzieć uśmiech u naszych ludzi. Nawet umierający się uśmiechają. A ona powiada: „Tak jest prawie zawsze. Oni czekają, mają nadzieję, że syn czy córka przyjdzie ich odwiedzić. Cierpią, że o nich zapomniano”. Więc proszę – oto miejsce, gdzie ma przyjść miłość. Przede wszystkim ta nędza, odrzucenie miłości nawiedza nasze domy. Może we własnej rodzinie jest ktoś, kto czuje się samotny, chory, smutny? To dla każdego są trudne dni. Czy jesteśmy tam wtedy? Czy jesteśmy tam, żeby ich przyjąć? Czy jest tam matka gotowa przyjąć dziecko?

Byłam zaskoczona widząc na Zachodzie tylu młodych chłopców i dziewcząt zniewolonych narkotykami. Próbowałam zrozumieć, skąd to się bierze, dlaczego tak się dzieje? A oto odpowiedź: „Ponieważ nikt w rodzinie nie chce ich przyjąć”. Ojciec i matka tak są zajęci, że nie mają czasu. Młodzi rodzice są w pracy, a dziecko idzie na ulicę i ulega jej wpływowi. Mówimy tu o pokoju. A to są właśnie rzeczy, które niszczą pokój.

Myślę jednak, że największym burzycielem pokoju jest dziś aborcja, ponieważ to jest otwarta wojna, bezpośrednie zabijanie, jawne morderstwo dokonywane przez samą matkę. Czytamy w Piśmie św. – a Bóg mówi bardzo wyraźnie: „Nawet gdyby matka mogła zapomnieć o swym dziecku, Ja cię nie zapomnę. Wryłem cię na mej dłoni” [por. Iz 49, 15n.]. Bóg wrył nas na swej dłoni; to nie narodzone dziecko jest Mu tak bliskie, że wrył je na swej dłoni. Najbardziej mnie porusza ten początek zdania: że nawet gdyby matka mogła zapomnieć – rzecz wręcz niemożliwa, ale nawet gdyby ona mogła zapomnieć – Ja cię nie zapomnę. Więc dzisiaj największym wrogiem pokoju, najpotężniejszym jego burzycielem jest aborcja. A my, którzy tutaj stoimy – nasi rodzice chcieli nas. Nie byłoby nas tutaj, gdyby nasi rodzice nam to uczynili.

Nasze dzieci: pragniemy ich, kochamy je. A co z milionami innych? Wielu ludzi bardzo troszczy się o dzieci w Indiach, o dzieci w Afryce, gdzie tyle ich umiera, pewnie z niedożywienia, z głodu itd. – ale miliony giną wskutek rozmyślnej decyzji własnych matek. I to właśnie najbardziej niszczy dziś pokój. Bo skoro matka może zabić swoje własne dziecko, to co stoi na przeszkodzie, abym ja zabiła ciebie albo ty mnie? Nic. Dlatego wołam w Indiach, wołam wszędzie: „Pamiętajmy o dzieciach!” Obecny rok jest Rokiem Dziecka: co zrobiliśmy dla dziecka? Na początku tego roku powiedziałam, i mówiłam to wszędzie: Postarajmy się o to, by każde dziecko było przez nas upragnione, urodzone czy nie urodzone. Dziś jesteśmy u końca tego roku. Czyśmy rzeczywiście sprawili, że dzieci są chciane?

Chciałabym Wam opowiedzieć coś niezwykłego. Zwalczamy aborcję przez adopcję. Ocaliliśmy w ten sposób tysiące ludzkich istnień. Rozesłaliśmy apel do wszystkich szpitali i posterunków policji: „Błagamy, nie zabijajcie dziecka; my weźmiemy to dziecko”. I o każdej porze dnia i nocy mówimy samotnym matkom (jest ich u nas sporo): „Chodź, zajmujemy się tobą, przyjmujemy twoje dziecko i znajdziemy dla niego dom”. I mamy teraz ogromną prośbę do rodzin bezdzietnych: przyjmijcie te dzieci, są one dla nas Bożym błogosławieństwem!

Robimy jeszcze jedną dobrą rzecz: uczymy naszych żebraków, naszych trędowatych, naszych mieszkańców slumsów i naszych ludzi z ulicy naturalnych metod planowania rodziny. W samej Kalkucie w przeciągu sześciu lat – mówię tylko o Kalkucie – znanych nam jest 61 273 przypadków, kiedy te rodziny uniknęły zapłodnienia wykorzystując naturalną drogę wstrzemięźliwości, samokontroli podjętej z wzajemnej miłości. Uczymy tych ludzi metody termicznej, dobrej i prostej. I nasi biedni ludzie ją rozumieją. Wiecie, co mi kiedyś powiedzieli? „Nasza rodzina jest zdrowa, panuje w niej jedność i zgoda, i możemy mieć dziecko, kiedy zapagniemy”. Takie to proste dla tamtych ludzi z ulicy, dla nędzarzy. I myślę, że skoro nasi ludzie mogą tak postępować, to o ileż bardziej Wy i wszyscy, którzy potrafią poznać różne metody prowadzące do poczęcia życia, które Bóg w nas stwarza, bez nisz-

czenia go. Biedni ludzie to wspaniali ludzie. Mogą nas uczyć wielu dobrych rzeczy. Któregoś dnia jeden z nich przyszedł, żeby nam podziękować, i powiedział: „Wy, którzy żyjecie w czystości, wy właśnie najlepiej nadajecie się do tego, by nas uczyć planowania rodziny, bo to przecież nic innego, jak samoopanowanie płynące z wzajemnej miłości”. Myślę, że ujął to bardzo pięknie. Tacy są ci ludzie, którzy może nie mają co jeść, może brak im dachu nad głową, ale to są wielcy ludzie.

Ci biedacy są cudowni. Pewnego wieczoru wyszliśmy i zabrałyśmy z ulicy czworo ludzi. Jedna z kobiet była w strasznym stanie. I powiedziałam siostrze: „Zaopiekujcie się tamtą trójką, ja zajmę się tą jedną, ona wygląda gorzej”. Zrobiłam dla niej wszystko, na co było stać moją miłość; ułożyłam ją w łóżku i wtedy zjawiał się tak piękny uśmiech na jej twarzy. Wzięła mnie za rękę i powiedziała tylko jedno słowo: „dziękuję” – i umarła. Nie mogłam pomóc, mogłam tylko zrobić przy niej rachunek sumienia. I zapytałam samą siebie: „Co bym ja powiedziała na jej miejscu?” Odpowiedź była prosta: próbowałabym choć trochę zwrócić na siebie uwagę. Próbowałabym powiedzieć: „Jestem głodna, umieram, zimno mi, boli mnie”, albo coś w tym rodzaju. Ale ona dała mi o wiele więcej – ona mi dała swoją wdzięczną miłość. I umarła z uśmiechem na twarzy. Tak jak ten człowiek, którego zabrałyśmy z rynsztoku, na pół zjedzonego przez robactwo, i przyniosłyśmy do domu. „Żyłem jak zwierzę na ulicy, ale umieram jak anioł, otoczony miłością i opieką” – powiedział. To było cudowne, zobaczyć wielkość tego człowieka, który potrafił tak właśnie mówić, który potrafił tak umierać, nikogo nie potępiając, nie przeklinając, nie złorzeczając na swój gorszy od innych los. Jak anioł. Oto wielkość tych naszych ludzi.

I dlatego my wierzymy słowom Jezusa: To Ja byłem głodny, Ja byłem nagi, Ja bezdomny; to Ja byłem nie chciany, nie kochany, o Mnie nikt się nie troszczył – i to wyście Mnie to uczynili.

Jestem głęboko przekonana, że my tak naprawdę nie jesteśmy pracownikami społecznymi. W oczach ludzi może uchodzimy za te, które zajmują się pracą społeczną, ale w gruncie rzeczy to jesteśmy ludźmi kontemplacji, w samym sercu świata. Bo my dotykamy Ciała Chrystusa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Żyjemy przez dwadzieścia cztery godziny w Jego obecności – i Wy, i ja. Wy także musicie próbować wnieść tę obecność Boga do Waszych rodzin, bo rodzina, która modli się wspólnie, trwa we wspólnocie. I myślę, że my w tej naszej rodzinie nie potrzebujemy bomb ani karabinów, żeby zniszczyć albo wprowadzić pokój. Wystarczy po prostu być razem, kochać się wzajemnie; wnosić ten pokój, tę radość, tę siłę, jaka płynie z wzajemnego bycia dla siebie w domu. Wtedy będziemy zdolni zwyciężyć całe zło, jakie jest na świecie. Tyle w nim cierpienia, tyle nienawiści, tyle nędzy – ale zaczynajmy od naszej modlitwy, od poświęcenia w domu. Miłość zaczyna się w domu. I nie tak ważne jest, ile zrobimy, ale ile miłości wkładamy w działania, które wykonujemy. To wszystko przecież czynimy wszechmocnemu Bogu – więc nieważne jest, ile uczynimy, bo On jest nies-

kończony, ale ważne, ile miłości włożymy w nasze działanie. Ile Mu uczynimy w tej osobie, której służymy.

Jakiś czas temu miałyśmy w Kalkucie wielkie trudności z dostaniem cukru. Nie wiem, jak to doszło do wiadomości dzieci, ale mały czteroletni chłopiec hinduski poszedł do domu i powiedział rodzicom: „Nie będę jadł cukru przez trzy dni. Dam mój cukier Matce Teresie dla jej dzieci”. Po trzech dniach ojciec i matka przyprowadzili go do naszego domu. Nigdy ich przedtem nie spotkałam, a malec ledwie umiał wymówić moje imię. Ale on bardzo dokładnie wiedział, co miał zrobić. Wiedział, że chciał dzielić się swą miłością.

I dlatego doznaję tyle miłości od wszystkich. Odkąd tu przybyłam, jestem po prostu otoczona miłością – i to prawdziwą, pełną zrozumienia miłością. Wygląda tak, jakby każdy w Indiach, każdy w Afryce był kimś szczególnie ważnym dla Was. I poczułam się całkiem jak w domu, jak to dziś mówiłam jednej siostrze. W konwencie, wśród sióstr, czuję się tak, jakbym była z mymi siostrami w Kalkucie. Dosłownie w domu, właśnie tutaj. Tak też z Wami rozmawiam. Chcę, byście znaleźli tutaj biednych, najpierw właśnie tu, we własnym domu. I żebyście zaczęli kochać. Bądźcie dobrą nowiną dla swych najbliższych. Zainteresujcie się Waszymi najbliższymi sąsiadami. Czy wiecie, kim są?

Przeżyłam niezwykle zdarzenie z rodziną hinduską, która miała ośmioro dzieci. Pewien pan przyszedł do naszego domu i powiedział: „Matko Tereso, jest tu taka rodzina z ośmiorgiem dzieci. Oni już od dłuższego czasu nie mają co jeść; zrób coś”. Wzięłam więc trochę ryżu i zaraz poszłam. Zobaczyłam te dzieci – ich błyszczące od głodu oczy. Nie wiem, czyście kiedy widzieli głód. Ja widziałam wiele razy. Kobieta wzięła ryż, podzieliła go i wyszła. Gdy wróciła, spytałam ją: „Gdzie byłaś i co robiłaś?” A ona odpowiedziała bardzo prosto: „Oni też są głodni”. Najbardziej zdumiewające było to, że ona wiedziała, kim oni są, ona wiedziała, że to rodzina muzułmańska. Nie przyniosłam im tego wieczoru więcej ryżu, ponieważ chciałam, żeby się mogli nacieszyć radością dzielenia się. A tamte dzieci promieniały radością, dzieliły się radością wraz ze swą matką, bo ona miała w sobie miłość. Oto więc gdzie zaczyna się miłość – w domu.

I Wam chcę bardzo serdecznie podziękować za wszystko, czego tu doznałam. To było dla mnie wielkie przeżycie. Kiedy wrócę do Indii – to znaczy w przyszłym tygodniu, bodaj piętnastego – będę mogła zabrać z sobą Waszą miłość. Dobrze wiem, że ofiarowaliście mi nie to, na czym Wam zbywa, ale złożyliście dar, który jest też dla Was bolesną ofiarą. Dziś nawet małe dzieci coś przyniosły – tak się zdumiałam – ale to da tyle radości głodnym dzieciom! Te dzieci – jak to dzieci – potrzebują miłości i dostaną jej tak dużo od swych rodziców.

Dziękujemy więc Bogu, żeśmy mieli sposobność poznać się wzajemnie i że ta znajomość nas do siebie bardzo zbliżyła. Będziemy mogli pomóc dzieciom w całym świecie, ponieważ – jak wiecie – nasze siostry są już wszędzie.

Dzięki tej nagrodzie, którą otrzymałam jako nagrodę pokojową, będę próbowała utworzyć dom dla wielu ludzi, którzy domu nie mają. Wierzę bowiem, że miłość zaczyna się w domu i jeśli będziemy w stanie stworzyć dom dla ubogich, to sądzę, że miłość będzie się coraz bardziej szerzyć. A poprzez zrozumienie miłości będziemy mogli nieść pokój, będziemy sami dobrą nowiną dla biednych. Najpierw dla biednych w naszej własnej rodzinie, potem w naszym kraju i w świecie. Aby móc to czynić, całe życie naszych sióstr musi być przeniknięte modlitwą. Muszą one być przeniknięte Chrystusem, jeśli mają być zdolne do rozumienia i dzielenia się miłością. Tyle dziś cierpienia! Czuję, że wciąż na nowo odżywa Męka Chrystusa, a my musimy uczestniczyć w tej męce, dzielić cierpienia ludzi na całym świecie, nie tylko w biednych krajach. Na Zachodzie także znalazłam ubóstwo, i to tak trudne do usunięcia. Kiedy podnoszę z ulicy jakiegoś głodnego, to daję mu talerz ryżu, kawałek chleba i tak mogę zaradzić napotkanej biedzie. Zaspokoiliam głód. Ale gdy ktoś jest odsunięty, gdy czuje się nie chciany, nie kochany, zastraszone, gdy traktowany jest przez społeczność jak wyrzutek – jakaż to bolesna i ogromna bieda! I jaka trudna do pokonania! Nasze siostry na Zachodzie przede wszystkim wśród takich ludzi pracują.

Musicie więc modlić się za nas, żebyśmy potrafiły być taką dobrą nowiną. Bez Was nie będziemy w stanie temu zadaniu sprostać. Wy musicie to samo robić tu, w Waszym kraju. Musicie poznać biedę. Może ludzie tu pod względem materialnym są bogaci, mają wszystko, ale myślę, że jeśli przyjrzymy się naszym domom, to zobaczymy, jak trudno nam czasami znaleźć wzajemny uśmiech. A taki właśnie uśmiech jest początkiem miłości.

Więc zawsze spotykajmy się uśmiechając, bo uśmiech jest początkiem miłości. A kiedy już zaczniemy się wzajemnie miłować, to naturalnie zechcemy z tej miłości coś zrobić. Więc proszę, módlcie się za nasze siostry i za mnie, i za naszych braci, i za naszych współpracowników, którzy rozsiani są po całym świecie. Módlcie się, żebyśmy byli wierni wobec tego daru, jaki otrzymaliśmy od Boga: daru miłowania Go i służenia Mu w ubogich, wraz z Wami. Nie bylibyśmy zdolni uczynić tego, co uczyniliśmy, gdybyście nie łączyli się z nami swą modlitwą, swymi darami, nieustannym daniem. Ale ja nie chcę, żebyście dawali mi jedynie z tego, co Wam zbywa; chcę, byście dawali aż do bólu.

Pewnego dnia otrzymałam 15 dolarów od człowieka, który od dwudziestu lat był przykuty do łóżka. Mógł poruszać tylko prawą ręką, a jedyną przyjemnością, na którą mógł sobie pozwolić, było palenie. I napisał do mnie: „Nie palę od tygodnia i posyłam ci te pieniądze”. To musiała być dla niego ogromna ofiara, ale popatrzcie, jak on się pięknie dzielił. Za te pieniądze przyniosłam chleb i dałam głodnym, i radość stała się udziałem obu stron. Jego – bo dał, ich – bo otrzymali.

To jest właśnie coś, co i Wy, i ja możemy zrobić. To jest ten dar, Boga dla nas, że możemy dzielić się naszą miłością z innymi. Niech ta zdolność dzielenie się naszą miłością z innymi trwa. Niech będzie taka, jaką była dla Jezusa. Miłujmy się tak, jak On nas umiłował. Miłujmy Go miłością całkowitą, nie podzieloną. Obdarzajmy się wzajemnie radością płynącą z miłości Jego i wszystkich ludzi – teraz zwłaszcza, kiedy zbliża się Boże Narodzenie. Niech ta radość z miłowania Jezusa trwa w naszych sercach. Dzielimy się z każdym, kogo spotkamy. Taka promieniująca radość jest prawdziwa, bo czemuż mielibyśmy nie być szczęśliwi, skoro Chrystus jest z nami? Chrystus jest w naszych sercach, Chrystus w ubogim, którego spotykamy, Chrystus w uśmiechu, jakim obdarzamy, i w uśmiechu, jakim nas obdarzają. Zróbmy to jedno: żeby nie było dzieci nie chcianych, a także żebyśmy zawsze spotykali się z uśmiechem, zwłaszcza wtedy, gdy o uśmiech trudno.

Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś przyjechało do Kalkuty chyba ze czterystu profesorów z różnych uniwersytetów amerykańskich. I przyszli do naszego domu. Rozmawialiśmy o domu dla umierających, który oni odwiedzali (mamy taki dom w Kalkucie, do którego zabrałyśmy ponad 36 tysięcy ludzi – tylko z ulic Kalkuty, a z tej wielkiej liczby ponad 18 tysięcy umarło piękną śmiercią: oni po prostu poszli do domu, do Boga). Przyszli więc do naszego domu i mówiliśmy o miłości, o współczuciu. A jeden z nich poprosił mnie: „Matko, powiedz nam coś, co moglibyśmy zapamiętać”. Powiedziałam im: „Uśmiechajcie się wzajem do siebie, miejcie dla siebie w rodzinie czas. Uśmiechajcie się”. Inny zapytał mnie: „Jesteś zamężna?” A ja mówię: „Owszem, i muszę powiedzieć, że czasem bardzo mi trudno uśmiechać się do Jezusa, bo On czasami potrafi bardzo wiele wymagać”. Tak jest naprawdę. I wtedy właśnie przychodzi miłość: kiedy jest takie wymaganie, a jednak możemy je spełnić dla Niego, i to z radością.

Jak już dziś mówiłam, jeśli z innych powodów nie pójde do nieba, to trafię tam z całego tego rozgłosu. On mnie oczyszcza, zmusza do poświęceń, naprawdę przygotowuje mnie, bym mogła pójść do nieba.

Myślę, że coś w tym jest, że musimy pięknie przeżyć nasze życie. Jezus przecież jest z nami i On nas kocha. Gdybyśmy tylko pamiętali, że Bóg nas kocha i wykorzystalibyśmy okazje, by kochać innych tak, jak On nas umiłował – nie w wielkich sprawach, ale w rzeczach małych, za to z wielką miłością – wówczas Norwegia stałaby się gniazdem miłości. Jakby to było pięknie, gdyby stąd, gdzie jest teraz centrum pokoju, a gdzie kiedyś toczyła się wojna, gdyby stąd wypływała radość życia z powodu dziecka, które ma się narodzić. Jeśli staniecie się płonącym światłem pokoju w świecie, wówczas rzeczywiście Pokojowa Nagroda Nobla stanie się wielkim darem norweskiego ludu. Niech Wam Bóg błogosławi!